

Z Carrary do Pizy jest niedaleko, jakieś pięćdziesiąt kilometrów. Po drodze przejechać jeszcze trzeba przez Viareggio, pełne palm i kwitnących o tej porze oleandrów. Właśnie zaczął się wrzesień, dni wciąż są gorące, ale hotele i pensjonaty już nieco pustoszeją, a i na plażach trochę mniej ludnie. Jednak gdy tancerze z Ingolstadt i Opola zawiądnęli nadmorskim deptakiem, aby zaprosić na Festa della Birra, tłum zebrał się całkiem spory. Karabinierzy czuwali — bardziej dla dekoracji, bo ład utrzymywał się jakby sam z siebie. Zresztą, że są ku ozdobie, okazywało się raz po raz — chętnie dawali się fotografować, z wprawą wytrawnych aktorów zajmowali centralne miejsca w grupie. W ostrym słońcu ich białe mundury i czarne, lśniąco buty wyglądały rzeczywiście wspaniale. Poczucie elegancji kazalo im z pobłażliwością patrzeć na niegroźne wybryki i dziwactwa.

Gdy strudzeni gorącym tancerze i muzycy wtargnęli do fontanny na placu Manzoniego, obyło się bez interwencji. Ach, cóż to był za widok: taniec z podkasanymi spódnicami, rozpryskujące się krople wody. Fontanna jako estrada. Ach, cóż to był za koncert: spazmatyczne trele fletów i klarnetów z szumem wody w tle. W rozpasanej zabawie uczestniczył Reinhard Reissner, szef bawarskiej orkiestry, nie tracąc nic z urody Wagnerowskiego bohatera.

Ale to było kilka dni temu. Teraz przejeżdżamy przez Viareggio, zatrzymując się tylko na czerwonych światłach. Byłe przedzie do Pizy. Wszak dziś jeszcze mamy być we Florencji, a wieczorem rozlokować się w hotelu „Don Sturzo” w Mestre — to znaczy w Wenecji, ale tej nowszej, lądowej.

W Pizie zajeżdżamy na niewielki parking w pobliżu średniowiecznych murów. A oto brama, której nazwa — w wyniku upływu czasu — brzmi jak żart: Porta Nuova. Widać przez nią Piazza del Duomo, z katedrą i

TOSKAŃSKI NARKOTYK

MAREK JODŁOWSKI



Plac Katedralny w Pizie. Po lewej — Krzywa Wieża (Kampanila), w środku — katedra, w głębi — Baptysterium.

niania rzeźbiarskich detali — reliefów, kolumn, zwieńczeń. Wizerunek wieży, jaki nosimy w pamięci, nie daje o tym najmniejszego wyobrażenia.

Tuż obok — Duomo, za katedrą — budynek Chrzcielnicy. Obie budowle mają również ponad pięćdziesiąt metrów wysokości, ale inne proporcje ich brył sprawiają, że wydają się nieco niższe od Krzywej Wieży. Zdają się przyciągać swoją masą. Światło odbite od bieli marmurowych ścian, pasyca powietrze

to tylko fragment Pizy. Ja zaś poznałem fragment owego fragmentu. Na dodatek nie wiem, czy kazalnica Giovanniego trzeba cenić wyżej niż dzieło jego ojca. Co prawda, ambona w Baptysterium, starsza o pół wieku, nie pyszni się aż takim bogactwem szczegółów, nie wciąga w aż tak wyrafinowaną grę symboli, ale za to emanuje spokojem, zachęca do skupienia. Obcowanie z tajemnicą jest tu mniej hulaśliwe. Sprawił to mistrz Nicola Pisano.

orientacyjny. W dole, za rzeką — Firenze!

Już za chwilę widoki z Florencji przemierzają się z widokami z Pizy — powstanie z tego, w pamięci, fantastyczne miasto. Jakaś Pizencja czy też Floriza. Ale bo czy znamy — dokładnie! — któreś z dużych miast? Raczej nie. Nawet to, w którym zdarzyło nam się zamieszkać na stałe, znamy tylko we fragmentach. A co dopiero mówić o miastach poznawanych w przełocie. Stąd zapamiętamy skwer, stamtąd dworzec lub most.

Za to jedno jest pewne: mieszanka widoków z Toskanii działa jak narkotyk. Właśnie wróciły do mnie wrażenia z katedry w Pizie. Krzyż i „wahadło”. Akt odkupienia i akt zrozumienia. Tak, tutejsi artyści i badacze obcowali z siłami kosmosu. Czerpali z tego radość. Ich podniecenie udziela się i tym, którzy wnikają w naturę ich dzieła. Toskański narkotyk nie stracił jeszcze mocy.

Aby zanurzyć się w tłum rozgorączkowanych turystów, zagubić wśród uliczek, trzeba zakolnąć zejść ze wzgórza, przejść przez Arno, dostawszy się na któryś z mostów. Z dala wzywają wieże Signorii, kościołów Santa Croce, Santa Maria del Fiore, Santa Maria Novella. I biała wieża dzwonnicy, którą zaczęto wznosić pod kierunkiem Giotto.

Tłumy w katedrze, jeszcze większe przed galerią Uffizich, za to pusto w muzeum Dantego. I nikt nie przystaje na Piazza San Marco. A przecież to tu były słynne ogrody Medyceuszów. Gdzieś tu piętnastoletni Michelangelo odkuł w marmurze głowę starego śmiejącego się fauna. Według własnego pomysłu, wyrzeźbił otwarte usta, język i zęby. Widząc to, Lorenzo żartobliwie zauważył, że „starzy ludzie nigdy nie mają wszystkich zębów”. Chłopiec, nie namyślając się długo, chwycił dłuto, wybił zęb faunowi, zmienił układ dziąseł. Uśmiech fauna stał się ironiczny. Tym razem rzeźbiarz przyznał rację swemu protektorowi.

„Scarlett” amerykańskim bestsellerem



Na zdjęciu: Alexandra Ripley ze swoją książką CAF-AP

Gdyby Sienkiewicz inaczej na pisał „Potop” i pozostawił czytelników w niepewności co do tego, czy Oleńka poślubiła Kmicica, „Potop-2” wydany dziś w Polsce przez naśladowcę mistrza cieszyłby się zapewne takim wzięciem, jakim w USA cieszy się powieść „Scarlett” póra mało znanej pisarki Alexandry Ripley, będąca dalszym ciągiem słynnego „Przemięło z wiatrem” Margaret Mitchell z 1936 r.

Choć większość krytyków uznała „Scarlett” za nudną pilę, wydawca rozproszdził już przeszło milion egzemplarzy 823-stronicowej książki, opowiadającej dalsze dzieje Scarlett O'Hary i Rhett Butlera, a księgarnie przywołują tyle zamówień, że wciąż dodrukowuje się 50 tysięcy egzemplarzy dziennie.

„Scarlett” znalazła się na pierwszym miejscu październikowej listy bestsellerów „New York Timesa”, opracowywanej na podstawie raportów z 3 tysięcy

PRZED PREMIERĄ

O polski teatr przygołował pierwszą w nowym sezonie premierę: „Kwartet” Bogusława Schaeffera. Autor urodzony w 1929 r. we Lwowie, rodzinnie związany po wojnie z Opolem od lat mieszkający w Krakowie, jest znanym, awangardowym kompozytorem, muzykologiem, pisarzem muzycznym, pianistą, dramaturgiem i grafikiem, laureatem kilkunastu nagród i wyróżnień.

Twórcą pierwszego w Polsce, ośmiogodzinnego happeningu w 1960 r. Za dyrekcji Bohdana Cybulskiego był kierownikiem muzycznym naszego teatru. Dla opolskiej publiczności smakowitą próbką jego scenopisarstwa stał się pokazany na gościnnych występach krakowskiego Teatru STU „Scenariusz na trzech akto-

zany ostatnio w telewizji. Role, w których telewizyjna publiczność oglądała Joannę Żółkowską i Mariusza Benoit, we wrocławskim przedstawieniu równie znakomicie, choć w nieco innym ujęciu postaci pary bohaterów, zagrali Teresa Sawicka i Andrzej Mrozek. Kolejna moja praca reżyserska to „Święty Franciszek

doświadczenia, że w garderobie teatralnej odbywa się nieraz ciekawszy spektakl niż na scenie. W „Kwartecie” czterej aktorzy, oczekując na swoje wejście na scenę, rozmawiają, rozwiązują krzyżówki, uczą się obcych języków, ćwiczą głos i dykcję, plotkują. Ale także zastanawiają się nad sensem muzyki, poruszają zagadnienia metafizyki. Jest w tym wszystkim humor i trochę poważnej refleksji, jedno wiąże się z drugim.

— „Kwartet”, podobnie jak inne utwory sceniczne Schaeffera, wymaga — jak sędzę — specjalnych predyspozycji reżyserskich i aktorskich. Autor w swoich scenariuszach teatralnych nuty zastąpił słowami, zaś aktorzy pełnią jakby rolę instrumentów muzycznych. Na czym polega muzyczność „Kwartetu” w Pana spektaklu?

Aktorzy „na podglądzie”

row” w brawurowym wykonaniu braci Mikołaja i Andrzeja Grabowskich oraz Jana Peszka. Spektakl ten oglądała również widownia telewizyjna.

Wystawiony w łódzkim Teatrze im. Jaracza w 1979 r. „Kwartet” okazał się dramaturgiczną i teatralną rewelacją. Mikołaj Grabowski wracał do tego utworu jako reżyser i aktor jeszcze parokrotnie — w Warszawie i Krakowie — zawsze z ogromnym powodzeniem.

Realizatorem „Kwartetu” w Opolu jest tegoroczny absolwent wydziału reżyserii warszawskiej PWST JAROSŁAW OSTASZKIE WICZ, który wcześniej ukończył studia polonistyczne. Tradycyjnym już zwyczajem poprosiliśmy go o przedpremierową rozmowę.

— Czy jest to Pana debiut reżyserski?

— Nie, zrobiłem już trzy przedstawienia. Pierwszą moją pracą był spektakl sztuki Samuela Becketta „Którzy upadają” w warszawskim Teatrze Ateneum, z Zofią Rysiówną, Zdzisławem Tobiaszem i Henrykiem Talarem wśród wykonawców. Teatr Polski we Wrocławiu wystawił w mojej reżyserii dramat Toma Kemptńskiego „Odchodzić”, poka-

zany ostatnio w telewizji. Role, w których telewizyjna publiczność oglądała Joannę Żółkowską i Mariusza Benoit, we wrocławskim przedstawieniu równie znakomicie, choć w nieco innym ujęciu postaci pary bohaterów, zagrali Teresa Sawicka i Andrzej Mrozek. Kolejna moja praca reżyserska to „Święty Franciszek

— Można Panu pogratulować tak pomyślnego startu zawodowego w sytuacji, w której chyba nie łatwo o debiut reżyserski, zwłaszcza na któreś z renomowanych scen. Wracajmy jednak do „Kwartetu”. Cel naszej rozmowy jest dwójaki. Po pierwsze mamy za chęć publiczności do przyścia na Pana spektakl, a po drugie — naprowadzić widzów na właściwy jego odbiór. Rzecz bowiem w tym, że widz lasy na zajmującą fabułę, nie znajdzie jej w „Kwartecie”. Jest tu tylko akcja sceniczna, bez logicznego następstwa przyczynowo-skutkowego.

— Myślę, że zachęta dla każdego widza może być to, że zobaczy teatr od kulis, aktorów „na podglądzie” — w garderobie, która jest miejscem akcji. Wynika z tego komizm, zabawność sytuacji. Wiem z własnego

— Muzyczne jest, potraktowanie przestrzeni scenicznej. Pewien rytm nadawany przedstawieniu tekstem i działaniem. Akcja słowno-muzyczna podporządkowana rytmowi. Jeśli chodzi o czwórki wykonawców, każdy jest na swój sposób zabawny. Wiesław Cichy, Michał Kula, Jerzy Senator i Zbigniew Sikora to aktorzy „plastyczni”, z wyobraźnią i własną inwencją, która powoduje, że zasada ich wzajemnego reagowania jest spontaniczność, wykluczająca stereotyp i otwierająca aktora na improwizację.

— Pana wyobraźnia publiczności?

— Chciałbym adresować to, co robię, do ludzi z poczuciem humoru, także na własny temat, i którzy nie ztratili dziecięcej świeżości w reagowaniu na zabawę. Sam tak traktuję teatr. Jako mądrą zabawę, w której mieści się i Beckett, i Thernerson i Fredro. Gdzie dramat sąsiaduje z groteską, a nawet farsą.

— Jak w życiu. Dziękując za rozmowę, życzę Panu wielu udanych premier.

Rozmawiała:
ROMANA KONIECZNA

O wystawie sztuki młodych



Projekt plakatu — Andrzej Szejnweis

W reszcie doszła do skutku wystawa sztuki młodych, znaleźli się sprawni komisarze i chętni młodzi (część z nich to jeszcze studenci) do zrobienia czegoś ważnego i własnego w tych przecież zwariowanych czasach. Tak się złożyło, że wystawa ta idzie w parze z innymi ogólnopolskimi imprezami, też zbiorowymi i głośnymi. Przy okazji należałoby się zastanowić, wzięwszy pod uwagę trudności w kulturze, czy nie robić właśnie mniej wystaw plastycznych, ale staranniej przygotowanych, które będą ożywiać środowisko i wprowadzać, choćby raz w roku, mały zamęt twór czy.

Tytuł naszej wystawy „Głosuj na mniejsze zło” niepełnie korespondował z jej kształtem, ale za to zabrzmiał prowokująco i aktualnie. Stanowił pierwszy plus wystawy. A dalsze? Jedno jest pewne — poznaliśmy grupę młodych artystów i wiemy mniej więcej, jak wygląda młoda sztuka opolska: jest złożona,

chęć pokazania wszystkich pomysłów razem.

Nie ma na wystawie prac malarzskich o szczególnych walorach, jest wszakże kilka płócien interesujących, czy po prostu wskazujących na spore uzdolnienie młodych adeptów sztuki. Joanna Lewandowska zwróciła na siebie uwagę lirycznymi płótnami o złożonej, mocnej kolorystyce, starannie zakomponowanymi. Podobają się abstrakcyjne zderzenia płaszczyzn barwnych u Artura Mikusza. Zwróciłam też uwagę na plaskorzeźby Mariana Molendy (dojrzałego już artysty z Nysy) — wprawdzie trochę martyrologiczne i kruchotne, ale jednak przejmujące w swojej głębokiej ekspresji. Nie rozczarował Marek Maciąg zestawem prac utrzymanych w specyficznej dla niego stylistyce. Zabrakło na wystawie Sytego, nie ma zapowiadanego Mariusza Dudka, jest z to słabe malarstwo E. Stawińskiej z Katowic i obojętne artystycznie płótno P. Malarza z Nysy.

Rozczarowała Krystyna Wołow

B13

B13